

Dziewczyna zmartwiła ze strachu. Trzymając ją dwoma palcami za skrwawiony podbródek poprowadził do pokoju. Więcej się nie broniła, odwróciła tylko głowę, kiedy wycierał sukienką jej zakrwawione usta. Zamglonymi oczami patrzyła w sufit. Ruchy mężczyzny były pospieszne i gwałtowne. Leżała naga na kilimie, kiedy opuszczał mieszkanie. Na klatce Gwałcieciel uważnie i pedantycznie sprawdził swoje ubranie. Wyszedł na podwórze z wesołym wzrokiem, jaki miewają robotnicy w soboty po ciężkim tygodniu. Nie zauważył stojącej na balkonie pierwszego piętra nagiej dziewczyny ze smutnym spojrzeniem, która trzymała nad głową ciężki, pięciolitrowy słoć z miodem. Cisnęła go w dół. Słoć trafił go w głowę z taką siłą, że aż chrupnęło. Spazm wstrząsnął ciałem, ręce poderwały się do góry, jakby Gwałcieciel chciał poprosić o przebaczenie wszystkie skrzywdzone kobiety. Na ziemi rozbryznął się miód wymieszany ze szkłem i krwią, tworząc migotliwy wachlarz.

Halina Maksymiuk

Ustępnik

Samotny wczasowicz niespiesznie zszedł szerokimi schodami na plażę. Przeszedł między równymi rzędami błękitnych leżaków do ciemnego, zarośniętego zielonymi oślizłymi wodorostami, falochronu. Na brudnej wodzie, pomiędzy siwymi blokami żelazobetonu huśtały się odpady: zużyta i rozdarta prezerwatywa, skórki pomarańczy, ostre drewniane szczapy, plastikowa torba z rozmytym rysunkiem, wypalone zapalki, filtry papierosów i mętna jednorazowa strzykawka. Powietrze napełniał gorzki jodowy zapach wyzibionego morza. Ostry zapach i widok odpadów, które wznosiły się i opadały w zatoce pomiędzy płaszczyznami betonowych bloków, spowodowały, że w brzuchu wczasowicza za-

bulgotało. Sprężysty spazm młodości wypełnił z żołądka do gardła. Wczasowicz poczuł, że gdyby jeszcze raz spojrział na rozmokłą zakrwawioną podpaskę, to momentalnie wymiotowałby na szare, zasolone kamienie plaży. Z chrzęszczącej, zasypanej kamykami plaży wczasowicz wyszedł na wyasfaltowaną promenadę. Widok wilgotnych odpadów huśtających się na wodzie uporczywie stał mu przed oczami. Wczasowicz przypalił papierosa, ale nie był w stanie się zaciągnąć. Wymiotny skurcz zadrgał w okolicy dołka jarzmowego, między obojczykami. Zaczęło go suszyć, chciał napić się wody, jakiegokolwiek, nawet rdzawej z kranu w publicznej toalecie, byleby nie morskiej. Wczasowicz wiedział, że w odległości trzydziestu, może czterdziestu metrów, w sosnowym zagajniku, ukrywa się biała budka toalety z niebieskimi drzwiami. Stukając głośno angielskimi butami, podszedł do drzwi z literą „M”. Mocno i zdecydowanie szarpnął za odrapaną klamkę. Drzwi jęknęły żałośnie i nie puściły. W tym samym momencie, jak na złość, wczasowiczowi zachciało się do toalety. Do ociężałości w przewodzie pokarmowym dołączyło parcie z pęcherza moczowego. Następna ubikacja, przypomniał sobie wczasowicz, znajdowała się pół kilometra dalej. Pomknął chyżo w jej kierunku. Już z daleka radośnie i z lubością spoglądał na białą rotundę, wstydliwie ukrywającą się wśród krzywych sosnowych pni i gałęzi, które powyrastały na usypiskach morskiego piasku. Ale drzwi ubikacji były zabite na krzyż deskami. Pęcherz wypełniało tak mocne i piekące ciśnienie, że wczasowicz poważny się ulżył sobie za ubikacją, lecz spomiędzy sosen ukazał się robotnik w kapelusiku z gazety. W rękach robotnika kołysało się wiadro z tłustą zieloną farbą i kwacz na długim trzonku. Wczasowicz pospieszył przez zagajnik na górę. Krętymi, zbutwiałymi, drewnianymi stopniami wy dostał się na pustą szosę, wzdłuż której przebiegał wysoki

parkan nie do przebycia. Piekący ból sączył się dwoma cieniutkimi strumieniami z dołu brzucha do nerek. Wczasowicz przygarbił się i pognał wzdłuż parkanu. Już miał uwolnić zbędne wody do spodni, gdy parkan się skończył. Za niewysokim pochylonym płotem wznosiła się gromadka prywatnych domków, a obok nich, wśród bezlistnych zarośli, zieleniła się ubikacja z dwiema kabinami. Drzwi do jednej z kabin były uchylone – wisiały tylko na górnym zawiasie. Wyczerpany wczasowicz dopadł zbawiennej czarnej szczeliny. W półmroku ciasnej ubikacji, podskakując na zasikanych deskach, zaczął uwalniać ze spodni obolały kranik. Drżące palce w pośpiechu zapętlili supeł na trokach kąpielówek. Wczasowicz zgrzytnął zębami i rozerwał angielskie jedwabne troki. I gdy nareszcie ścisnął w rękę zwiotczalego pomarszczonego siusiaka, trzask i chrobot w ciemnym kącie za spaczonym wiadrem zmusił męczennika do odchylenia i oparcia się plecami o zamknięte na haczyk drzwi. Zza wiadra, pełnego utyłanych ludzkimi odchodami papierów i gazet, uniosła się brodata, wężowata głowa na chuderlawej szyi, a za nią zupełnie już ludzki barczysty tułów o krótkich rękach. W różowiutkich, wymanikiurowanych jak u dziewczyny palcach, maskara trzymała półlitrowy słoik i plastikowy jednorazowy talerz. Zamiast ubrania na stworzeniu połyskiwała koronkowa łuska zaschniętej ciemnozielonej farby olejnej. Gadzia głowa rozejrzała się wylupiastymi oczami i rozwarła paszczę. Cienki rozdwojony język omiółł ostre, zagięte do wewnątrz zęby. Razem z odorem zgnilizny doszły do wczasowicza takie oto słowa:

– Tańczysz? Łomoczesz? A ja tu z głodu konam. Pozamykają ubikację, deskami pozabijają, wapnem posypią... A że Ustępnik bez jedzenia zostanie, to nikogo już nie obchodzi. Czego dygoczesz jak barani ogon? Ludzi nie jadam, tylko gnój i szczyiny. Masz, odlej się do pucharu, bo prag-

nienie wykończy mnie do reszty. Spójrz no do dziury... Sucho i czyściutko. Wszystkie zapasy już poszły.

Wypiełgnowana ręka o sinych paznokciach podsunęła wczasowiczowi pęknięty słoik. Tamten z przerażenia ledwo trafił strumieniem do pucharu Ustępnika. Wczasowicz ze strachu nie odczuł nawet długo oczekiwanej ulgi. Oddał słoik gospodarzowi, który w mgnieniu oka przełknął bursztynową ciecz.

– A cóż mamy na drugie? Hę? Rosolek i owszem, ale drugiego też nie odmówię – smrodliwie przemówił węzłowy Ustępnik i strząsnął z rzadkiej brody krople sików.

– Na gęsto... Ja już... Na gęsto robiłem... Dziś rano... Wybacz... Wybacz mi...

– Wybaaczam! – Ustępnik wyciągnął z wiadra spory strzęp gazety z zielonym kleksem i, niby serwetką, wytarł nim wąsy i osuszył brodę.

Nie spuszczać z Ustępnika wzroku, wczasowicz sięgnął ręką do tyłu, podniósł haczyk i wycofał się na zalane kwietniowym słońcem podwórko. Po ciemności ubikacji wszystko wokół wydało mu się oślepiająco niebieskie. Wczasowicz przebiegł bez wytchnienia ze trzy kilometry i dopiero wtedy zatrzymał się, aby schować atrybut męskości i zapiać spodnie.

Aleksander Maksymiuk

Ohydnik

Ohydnik obciął paznokcie na rękach i nogach. Jednak nie wyrzucił ich, jak czyni to większość normalnych ludzi, tylko zebrał do kupki na środku biurka i długo przyglądał się im z lubością. Ohydnik stulił dłoń w łódeczkę i przesunął paznokcie na brzeg biurka, a następnie zgarnął je na lśniący arkusz papieru, który złożył kilkakrotnie i schował